

## Przebiśnieg

Spod bezkresnej lodowej pustyni, która przykryła swym całunem ruiny ludzkiej cywilizacji, wystawała zapadnięta budowla. Były to resztki planetarium, stojącego niegdyś na szczycie niemal sześćdziesięciometrowego budynku. Wewnątrz kopuły, przez którą co chwila gwizdał smętnie wiatr, umieszczona była mała, czerwona skrzynia. Na jej wieku, prawie zatartym przez dziesiątki lat nieubłaganie pędzącego czasu, widniał taki oto napis:

**”Holodziennik odnaleziony w ruinach budynku „Kmicic”. Przedstawiona tu historia to autentyczny zapis wypowiedzi człowieka, który w tych ruinach spędził samotnie dwanaście lat. Niech to, co zaraz usłyszycie, przypadkowi odkrywcy tego miejsca, będzie dla Was przestrogą. Niech ten niepozorny zapis skłoni Was do odpowiedzenia sobie na proste pytanie: „Czy zostało we mnie coś z człowieka?”.**

**Jako gatunek możemy przetrwać. Pozbawieni cech odróżniających nas od zwierząt będziemy jak karaluchy, gnieźdząc się w byle jakich dziurach i walcząc ze sobą o każdy posiłek. Ale co z tego, skoro to, co jest w nas tak wyjątkowego zostanie pogrzebane pod grubą warstwą śniegu? Przetrywamy, ale zginie to, o co tak naprawdę podejmowaliśmy tę niekończącą się walkę. Człowieczeństwo.**

**~ Arytles, ostatni filozof Pustkowi”**

\*\*\*

Nad martwą Białą Doliną, zatopioną na wieki pod grubymi, ołowianymi chmurami, wstał nowy dzień. Ponad nieskończoną białą górą już tylko jeden budynek. Pomnik i niemy świadek upadku ludzkości. Szalejące po pustkowiu zamiecie niemal całkowicie zdarły niebieską farbę, pokrywającą niegdyś jego wysokie ściany. Został już na nich tylko smutny, paskudnie szary beton... Na szczycie budynku pozostały resztki planetarium – lśniąca w mrokach ciemnego świata metalowa kopuła. Otwór na teleskop przysłonięty był prowizoryczną klapą. Z każdą chwilą chmury zaczynały się robić coraz gęstsze i bardziej czarne. Wiatr podrywał coraz to większe tumany śniegu, rozbijając je o ściany budynku. Zapowiadało się na potężną burzę śnieżną.

Przenikliwy zgrzyt zatraskiwanej metalowej kłapy rozległ się po ostatnim piętrze budynku „Kmicic”. Ubrany w biały kombinezon mężczyzna zeskoczył z podrdzewiałej drabinki prowadzącej na dach. Otrzepał się z czepliwego śniegu i ruszył długim korytarzem przecinającym całe piętro. Na prawej ścianie co chwila pojawiały się wnęki, w których skryte były drzwi do następnych pokoi.

Po chwili wyjątkowo ociężałej przechadzki nogami skręcił do jednego z pokoi. Otworzył lekko uchylone drzwi i wpadł do środka. Powitał go tam ledwo pracujący grzejnik ogniowy i stara, metalowa prycza.

Mężczyzna ściągnął z głowy kaptur i usiadł na zdezelowanym łóżku. Już chciał się położyć i skrócić sobie męki codzienności, gdy poczuł dziwną chęć zajrzenia do pudełka, trzymanego pod pryczą. Zaraz sięgnął zgrabiałymi palcami po drewniany przedmiot i położył go sobie na kolanach. Oprócz pamiątek i kilku bibelotów, w skrzynce znajdował się mały Holodziennik. Mężczyzna wyciągnął go i spróbował włączyć. Gdy po przejechaniu palcem po dolnym brzegu urządzenia, jego ekran rozświetlił się niebieskim blaskiem, na zmęczonej twarzy mężczyzny zagościł uśmiech. Rozłożył się wygodnie na wyłożonym kocem materacu, i po wpisaniu daty na odpowiednim panelu włączył nagrywanie. Z jego ust popłynął szorstki, zmęczony baryton.

**15.03.2094**

No, chyba już! Nie wiem od czego by tu zacząć... Może od imienia? Tak, chyba by nawet wypadło.

Ja... Ja nazywam się Hiacynt. Moi rodzice, oni, uwielbiali kwiaty. Wszystko dookoła nazywali na ich cześć, to i czemu nie własnego syna...?

Nie pamiętam Dawnego Świata. Urodziłem się sześć lat po dniu, w którym wszystko się zmieniło. Przypominam sobie jednak tęskne opowieści rodziców. Nieszczęśników, którzy przeżyli tylko po to, żeby cierpieć. Do końca swych dni mieli nadzieję, że kiedyś wszystko wróci do normalności. Ich normalności, odległej od moich wyobrażeń. Marzyli, że Świat powstanie z popiołów jak Feliks, czy też Feniks. Ale ja od początku wiedziałem, że może być jedynie coraz gorzej. Musieli patrzeć, jak ich ukochany świat tonie w szarudze. W nieskończonej fali popiołów. Popiołów i tego przeklętego śniegu!

Myślałem, że kiedyś zapomną o tych bzdurach. Przesaną żyć bolesnym prorocstwem i zaczną godzić się z rzeczywistością. Oni jednak wciąż co rano wstawali zerkając w stronę okna, w nieprzemijającej nadziei, że znów ujrzą swoje ukochane Słońce. Wierzyli, że kiedyś powróci i ożywi kwiaty, znów popłyną rzeki, wrócą szczęśliwi ludzie i będzie tak, jak dawniej. Lecz to ich tylko zawodziło. Słońce wciąż skrywało się za grubymi chmurami... Żyli złudnym przekonaniem, i im bardziej się od nich oddalało, tym szybciej marnieli. Stawali się coraz bardziej zgorzkniali, dziwni, aż w końcu odeszli, umierając z tym okropnym grymasem rozczarowania. Mnie jednak nie wzięli ze sobą. Wciąż tu jestem...

Nie wiem dokładnie, co się tam wtedy w trzydziestym czwartym porobiło. Był u nas kiedyś pewien włóczęga, wojskowy.

Mówił, że dowództwo dostało wiadomość zza oceanu o jakimś nieudanym eksperymencie. Wszystkim wyższym oficerom polecono, żeby uciekali jak najwyżej w ląd, to może przeżyją. Ten typ musiał nie być zbyt bystry, że uznał to miasto za dostatecznie wyżynne...

Podobno popiół nieustannie padał z nieba aż pięć lat po katastrofie. Bez najmniejszej przerwy! Był dość lekki, ale sześciometrowa warstwa i tak wystarczyła, by zawalić większość budynków. Najpierw upadły te o płaskich dachach, a takie właśnie miały wszystkie najwyższe w okolicy. Został więc tylko nasz – Przebiśnięg. Ironia! Słyszałem, że kilka lat przedtem został powiększony o dziesięć pięter i wzmocniony stalowym rusztowaniem. Z całej konstrukcji właśnie ta nadbudówka wystaje teraz ponad śnieg...

Popioły nie były jednak takie złe... Kiedy przestało padać, ludzie zaczęli odkopywać miasto i zaczynać życie od nowa. Gdyby to było takie proste! Moi staruszkowie na szczęście wiedzieli, co się święci i kazali wszystkim zostać w środku. Prawie dwa tygodnie był spokój. Chmury zaczynały się przerzedzać, robiło się cieplej i mniej dusząco. Rodzice jednak wiedzieli, że te dwa lata opadów to był dopiero początek...

Tak jak tatko przewidywał, trzeciego tygodnia na ziemię spadło straszliwe Wielkie Zimno. My byliśmy bezpieczni – spaliśmy przy odkręconych w opór grzejnikach. Są zasilane termoogniwami, jak większość nowocześniejszych sprzętów. To takie baterie, tyle że zamiast ładunków, przechowują ciepło. Na średniej mocy wymienia się je raz na miesiąc – u nas padały po kilku dniach. Inni nie mieli jednak takiej technologii. Siedzieli przy ogniskach – palili czym się tylko dało. Szkoda mi ich - nie byli na nic przygotowani! Chcieliśmy pomóc, ale... Czasami chyba się nie da.

Na szczęście nie żyłem w tych czasach i TEGO nie widziałem. Ale wystarczą mi w pełni same opowieści. Tak... Wszystko powiedzieli! Podobno był to najstraszniejszy widok, jaki tylko można by sobie wyobrazić... Ciała, mnóstwo ciał! Rozrzucone bezładnie na ulicach. Tylu ludzi, Boże, tylu ludzi! Ile to mama mówiła? Dwieście tysięcy... Niemal tyle osób zamarzło tej jednej, parszywej nocy...

Podobno jeszcze kilka budynków było zamieszkanym po tej Nocy. Wszystkie średnie przetrwały opady popiołu i trzymały się całkiem nieźle. Nasi wyprawiali się do innych budynków, by wymienić się zapasami, lub podzielić się informacjami. Nie pamiętam już tych wypadów, ale podobno kiedy miałem dwa lata wybrano się na zewnątrz po raz ostatni. Po dość długiej przerwie, w końcu i na nas, niedobitków, spadł ostateczny cios.

Nawet tatko nie mógł tego przewidzieć, ale coś najwidoczniej przeczuwał, bo kazał wzmocnić kopułę, jak mówił, na wszelki wypadek...

Wielki Śnieg uderzył znienacka, grzebiąc większość ludzi śpiących w niższych budynkach, lub pod cieńszymi dachami. Nasz był metalowy i okrągły, więc wszystko gładko spadało na dół. Miałem wtedy cztery... Nie, pięć lat! Pamiętam... Jaki to był straszliwy huk! Całą noc nie zmrużyłem oka. Wydawało mi się, jakby świat znów miał się skończyć, tym razem na dobre...

Gdy się obudziliśmy, odkryliśmy, że warstwa szarawego szlamu dochodziła już do dwunastego piętra. Nigdy tego nie zapomnę. Jeszcze poprzedniego dnia oglądałem wystające spod szarugi dachy i ludzi krzątających się dookoła. Wtedy już nic nie było jak dawniej. Tak płasko, tak potwornie płasko...

Oprócz naszego, tylko dwa budynki przetrwały tamten opad. Widzieliśmy z okien jak jacyś inni ludzie całymi dniami wysypywali śnieg z dachu szpitala.

Mimo, iż był pochyły, lepka masa i tak przyklejała się do dachówek. Po tygodniu ciągłej śnieżycy wszystko się zapadło. Wyruszyliśmy zaraz na pomoc, ale ludzi już tam nie było. Zabraliśmy ile mogliśmy z magazynu, ale i tak zostało bardzo dużo potrzebnych leków. Wymontowaliśmy też wszystkie ogniwa i znów mogliśmy odpalić grzejniki na wszystkich piętrach. Pamiętam jak się cieszyłem. W końcu nie musiałem już schodzić na dół i wykopywać nadających się do spalenia mebli...

Aaa... Zapomniałem opowiedzieć o elektrowni! To dopiero było! Ta olbrzymia budowla utrzymała się najdłużej. Moim zdaniem cała konstrukcja zadziałała jak ogromna miska, zbierając w sobie ogromne ilości śniegu. Utrzymała się bardzo długo, ale wiadomo... Wszystko ma swoją wytrzymałość...

Ostatnia wieża chłodnicza, ta największa, zawałiła się dopiero siedem lat temu. Obudziło to mnie, znaczy, nas w środku nocy. Jaki to był rumor... poczułem się znów jak wtedy, kiedy spadł Wielki Śnieg! A przecież dzieliło nas kilka solidnych kilometrów... Oczywiście ze trzy razy wybraliśmy się tam po zapasy. Wynieśliśmy wszystkie ogniwa, większość lekarstw, ubrań, i nieco jedzenia odzyskanego z tych śmiesznych prostokątnych ustrojstw. Mieliśmy jedzenia na kilka miesięcy! Pamiętam jak Adam postanowił rozpalić na dolnym piętrze ognisko i upiec na nim znalezione w zakładowej lodówce kiełbasy. Były naprawdę obrzydliwe! Tak przyjemnie paskudne... Wtedy nie było tu jeszcze tak źle...

\*\*\*

Mężczyzna po wypowiedzeniu tych ostatnich na dzisiaj słów, przykrył się kocem i włożył dziennik pod poduszkę. Na zewnątrz cały czas szalała burza. Wiatr wciąż uderzał szaleńczo w liche, wydawałoby się, ściany budynku. Wiatr co chwila gwizdał złowieszczo, hulając po dolnych piętrach. Zmęczony Ocalały zamknął oczy, myśląc o promieniach Słońca, które mogą już jutro wyrzeć zza pancernych chmur. Zapadł na tą samą chorobę, co przed laty jego rodzice. W jego sercu, choć wątła, zaczęła tlić się nadzieja...

Nie dany mu był jednak długi odpoczynek. Obudził się zaledwie kilka godzin później, niepokojony przez rozwścieczoną śnieżycę. Otworzył swoje żółte, podkrążone oczy i wyciągnął spod jaśka Holodziennik.

Wiedział już, że białe piekło nie odpuści zbyt szybko, i że przez najbliższe kilka tygodni nie będzie mógł wychodzić na zewnątrz. Nie pozostało mu już więc nic innego, jak wspominki. Niewinne, zajmujące choć trochę czasu wspomnienia.

**16.03.2094**

Cholera... Raczej nie dam rady... Bez polowań nie będę miał co jeść! Pozostało mi już tylko jedno zajęcie, które może mi pomóc pozostać przy rozumie...

Na czym to skończyłem? A, tak...

Czternaście pięter nadawało się jeszcze do zamieszkania, kiedy moi rodzice uciekli tutaj szukając ostatniego ratunku przed zagładą. Byli chyba nauczycielami w mieście obok, ale nie jestem tego pewien. Ich dom był jednym z tym niskich, więc zawalił się prawie od razu. Tydzień zajęło im przejście po grząskim popiele przez ruiny miasta. Jak mu tam było? Opole? Możliwe, nie jestem pewien...

Tak czy siak, jakimś cudem ominęli wszystkie walące się budynki, nie padli ofiarom bandytów, nie zabił ich też ani mróz, ani głód. Los kazał im przyjść właśnie tutaj. Ma bardzo ciekawe poczucie humoru...

Gdy w końcu tu dotarli, okazało się, że byli pierwsi. Dziś wydaje mi się to nieco dziwne... Jak ktoś mógłby nie zająć tak dogodnego schronienia? Pamiętam, że tatko miał strzelbę. Kiedyś w jego rzeczach znalazłem dwa pudełka z nabojami. Problem w tym, że nabojów już dawno tam nie było. Na cmentarzu było też nieco więcej ciał, niż zmarło nam ludzi... Co tam mówił? „Pochowaliśmy też tylu zamrzniętych, ilu udało nam się znaleźć!” Ale kiedy oni już byli przysypani śniegiem! Hmm... Czasem mnie to zastanawia...

W każdym bądź razie, postanowili założyć tu, w pustym akademiaku, przyczółek dla innych, uciekinierów. Nie jestem pewien, czy się tego spodziewali, ale w mgnieniu oka wszystkie lokale zostały zaludnione.

Wkrótce jednak pokoje na dolnych piętrach stawały się nieosiągalne przez nieprzerwanie padający śnieg. Z czasem wszyscy zaczęli tłoczyć się na coraz wyższych piętrach. Zaczynało brakować też zapasów, psuły się piece, puszczaly izolacje. Ludzie zaczęli powoli znikać... Ostatnia ostoja ludzkości na horyzoncie, a może i nawet na świecie, powoli chyliła się ku upadkowi.

Dwadzieścia lat dawaliśmy radę, by w niecałe dwa całkowicie się załamać. Ostatnich dwunastu mieszkańców odeszło niecałe pół roku temu.

Nie zatrzymywałem ich. Nie miało to najmniejszego sensu. Nie wiem gdzie poszli, jaki mieli plan. Pewnie zamierzali gdzieś zaraz za horyzontem, albo zjadły ich jakieś potwory. Nieważne...

Obecnie mieszkam tu już tylko ja. Śnieg dociera teraz do parapetu dwunastego piętra. Przed katastrofą było ich dwadzieścia jeden, licząc obserwatorium.

Ja zajmuję dwudzieste, czyli od pokrywy śniegu... ósme. Przeniosłem się głównie dlatego, że ostatnie piętro było pierwotnie szczelne. Nie ma i nie było tu żadnego okna, klimatyzacji, czy choćby najmniejszej szczeliny. Dzięki temu po zamontowaniu metalowej kłapy w podłodze, pomieszczenie trzyma bez grzejnika stałą temperaturę. Kiedyś chyba sprawdzałem... Ile tam wyszło? A! Jedenaście stopni! Dla mnie wystarczy.

Pierwotnie stały tu gigantyczne czarne szafki ze świecącymi w środku lampkami. Wydawały taki przyjemny, szumiący dźwięk... Jak to tatko nazwał? Komputerownia?

W każdym bądź razie, nie było tu kiedyś ludzi, więc nie budowano żadnych otworów. Kiedy zaczęło brakować nam ogniw, rozmontowaliśmy te skrzynki i odzyskaliśmy z nich tyle przydasiów, ile się tylko dało. Może trochę szkoda, ale dla mnie najważniejsze jest to, że nie zamrzam...

Nieraz budzą mnie w nocy trzaski pękającego betonu, czy małe trzęsienia ziemi, powstałe po obsunięciu się któregoś z dolnych filarów. Wszystko dookoła sugeruje mi oddanie posterunku, ale ja się nie poddam. Póki żyję, Przebiśnieg nie upadnie! Nie może upaść, bo wraz z nim runę też ja. Wychowałem się tutaj, a dom nie może być pusty...

**17.03.2094**

Jestem już tego pewien. Śnieżyca nie ustąpi przez co najmniej dwa tygodnie. To prawie jak urlop! Szkoda tylko, że nie mam zbyt dużych zapasów, ani żadnego ciekawego zajęcia... Jako, że coś tam potrafię z elektroniki, spróbowałem się w łączeniu ładunków termoogniw. To dość skomplikowane, męczące i pracochłonne – idealne w razie nudy! Wyczerpanych baterii mam chyba z dwadzieścia. Z czterech pustych wychodzi jedno pełne, czyli razem... Pięć! Pięć w pełni użytecznych ogniw! O ile uda mi się je jakoś scalić i rozdzielić ładunek...

Na razie jednak przejdę się do składziku i poszukam narzędzi. Brakuje mi jednego klucza, pięciu kabli i szybkozłącza... Powinno być...

Nie będę się dłużej oszukiwał. Przecież ludzi to nic nie interesuje! Po co ja to wszystko opowiadam – marnuję tylko czas i energię...

Jeśli ktoś to kiedyś znajdzie, to na pewno nie będzie chciał zagłębiać się w tajniki majsterkowania. Chociaż... Może się przynajmniej czegoś nauczyć!

**18.03.2094**

Udało mi się odzyskać cztery. Ostatnie ogniwo z piątego zestawu wybuchło mi na stole. Na szczęście po podłączeniu wszystkiego wyszedłem po żarcie. Ja to mam ten, no, fart!

W każdym bądź razie, władowałem działające baterie do grzejnika. Powinno zrobić się znacznie cieplej.

Nie jestem pewien, czy przypadkiem nie mówię do siebie. Podobno człowiek w osamotnieniu ma taką tendencję – jakby mechanizm awaryjny. Śmieszne, pewnie właśnie to wszystko powiedziałem na głos! Muszę jak najszybciej przestać...

**19.03.2094**

Dalej pada. Byłem już na dole, żeby sprawdzić dokąd to sięga już śnieg. Jak tam straszliwie wieje!

Sądzę, że dopadało jakieś dwadzieścia centymetrów, może ciut więcej. Nie wiem, ciężko się coś mierzy, kiedy rozpędzony wiatr ładuje ci w oczy! Wymyśliłem już nawet taki miernik. Jeśli dwa-trzy dni po rozpoczęciu opadów śnieżyca dociska ci gogle do oczu tak mocno, że nie potrafisz ich później ściągnąć, to wiedz, że burza utrzyma się jeszcze co najmniej tydzień. Raz nawet tak wiało, że nie mogłem otworzyć klapy na niższe piętra, po wytworzyła się między nim, a moim różnica ciśnień. Nie dało się ruszyć przez sześć dni! Nie było wtedy zbyt wesoło...

No, ale nie łamię się! Mam tu przecież ten Holodziennik. Gadanie tak do tej małej, świecącej skrzyneczki wygląda pewnie niezwykle głupio! Co? Znów myślę na głos?

**20.03.2094**

Nie powinienem był chyba palić tych książek. Mieliśmy tu całą bibliotekę! Trochę tych uczelnianych, uratowanych przez rodziców, trochę przygodowych, przynoszonych przez zbieraczy, odrobinę bajek dla dzieci i całe mnóstwo medycznych, powynoszonych ze szpitala. Przyznaję, nieco pochopnie zabrałem się za ogrzewanie nimi pięt, ale przyznacie – albo one, albo ja! To cholera jednak szybko się paliła, więc musiałem siedzieć przy stosie i dokładać. Przyznaję, kilka przeczytałem, siedząc tak nad płonącym zbiorkiem. Najbardziej podobała mi się jedna z tych, no, zbiorków poetyckich. Tą wchłonałem jak gąbka. Aż się zapomniałem i trochę przygasało!

Nie pamiętam za bardzo tytułu ani autora, ale najbardziej w głowie utkwiło mi coś takiego: *„Kolory: Dwa szare serca dotknęły się wzrokiem. Nie trafiły ich jeszcze odłamki kolorów. Utonęły w swych pięknych czarnych oczach, jak kamień rzucony na gładką taflę stawu. Ostatni szarzy w świecie kolorów, panujących teraz na zgliszczach popiołów. Nie poddadzą się bez walki zaciętej, pozornie przecież, z marszu przegranej.*

*Choć atakuje ich wszędzie szturm kolorowy, nie łamią się, nie spuszczają głowy. I wiedzą, że nieraz walczyć jest warto, gdy słuszne życie w tej walce jest stawką.”*

Gdyby krety, który to napisał, zobaczył, jak wygląda taki świat, chyba zmieniłby zdanie... Choć w sumie, jest w tym trochę racji. Jakaś dziwna, przenikająca ten fragment życiowość. Od tamtego ogniska czasem budzi się we mnie jakiś ukryty poeta. Nie wiem, czy to dar, czy przekleństwo. Raz widzę w codzienności rzeczy niezwykle, a raz zwyczajny powiew wiatru może mnie zdołować...

**21.03.2094**

To jedzenie z torebek w sumie nie jest aż takie złe... Wszystko chyba wydaje się dobre w porównaniu do tego paskudnego, ciągnącego się mięsa, które sobie od czasu do czasu odgrzewam. Brr... Aż strach pomyśleć co by było, gdyby mróz nie poraził mi podniebienia i w pełni czułbym jego smak. Musi być, delikatnie mówiąc obrzydliwe... Ale nie powiedziałem im, znaczy się, wam, skąd ja w ogóle biorę żarcie. Otóż czasem spod śniegu wyłazą jakieś zwierzęta futerkowe – a to lis, a to królik. Jak tylko które wypatrzę, to lecę na dół z włócznią którą zrobiłem z noża i starego znaku drogowego. Gdzieś mam nawet chyba tablicę, na pewno jej nie wyrzuciłem! Co to tam było napisane? Woławska? Nie wiem już sam...



W każdym razie, problem polega na tym, że tych futrzaków robi się coraz mniej, a ja jestem wciąż, i bardziej głodny. Pamiętam te głodówki... Ile to było? Osiem. Tak, osiem dni bez choćby kąska czegoś do zjedzenia... No cóż, taki los niedobitka!

Pewnie myślicie sobie (tak, wiem że tak myślicie!): „Skąd ten nasz biedny Hiacynt bierze wodę?” Jest to trudniejsze, niż się może wydawać! Szarugi nie można – ot tak – roztopić sobie i wypić. Oszaleliście?! Nie wiecie, ile tam jest złych rzeczy! Jak to tatko mówił? „Nie pij tego synu! Chcesz wypić koktajl z popiołu, śniegu, siarki i Bog wie czego jeszcze? Zostaw szarugę w spokoju!” Tak mi powiedział, więc nie ruszam. Znalazłem inny, ciekawszy sposób zbierania zdatnej wody. Odkryłem, że kiedy rozpuści się świeży śnieg i przepuści trzy razy przez filtr, to nadaje się to do picia! Porozwieszałem więc na dolnych piętrach plastikowe zbieracze, ściągające opad prościutko do butelek. Ech... Szkoda! Wielka szkoda! Jak ja nie znoszę tego wiatru!

**22.03.2094**

Nic. Kompletnie nic się nie zmieniło. Nadal wieje, nadal pada. Ciągłe jest tu tak upiornie zimno...

Skończyły mi się już pomysły na prace. Nic nie trzeba reperować, nie muszę polować, nie mam jak zbierać wody. Wszystko, co dało się zrobić, zostało wykonane... Co by tu w takim razie powiedzieć? Na pewno żeście słyszeli o tym, jak tu źle, szaro i mroźno. Może opowiem o tym, jak w ogóle znalazłem to ustrojstwo? Hmm... Lepsze niż nic!

Holodziennik należał do Adama, mojego jedynego przyjaciela. Którejś nocy wymknął się z budynku i odszedł. Bez choćby najkrótszego pożegnania...

Zrobiło mi się nieco przykro - naprawdę go lubiłem! Pamiętam, jak siadaliśmy na krawędzi kopuły i zgadywaliśmy, które chmury szybciej odpłyną za horyzont. Albo jak ganialiśmy się po dolnych piętrach – to była zabawa! A później te rozmowy, te wspaniałe rozmowy o wszystkim i o niczym! Ale nawet on ostatecznie przegrał nierówną walkę z Białą Doliną... Złamała go i odebrała mi kolejną bliską osobę! Nie poddam się gnido, słyszysz! Nie weźmiesz mnie bez walki, nie dam... Nie, to bez sensu! Na pewno mnie nie słyszy! Przecież nie ma tu okien...

Przepraszam, poniosło mnie trochę... Wracając do tematu: Przez ostatnie tygodnie przed ucieczką, Adam wydawał się jakiś nieswój. Zaczął coraz częściej zawieszać się w pół zdania i wpatrywać tępo w bliżej nieokreślone miejsca.

W końcu przestał się do mnie odzywać, aż pewnej nocy, wyszedł na spotkanie ze śmiercią. Jestem pewien, że po przejściu kilku kilometrów padł ze zmęczenia i zmarł...

W każdym razie, w jego pokoju zostało kilka przydatnych rzeczy, w tym to urządzenie. Z początku nie wiedziałem za bardzo do czego służyło, ale jak widać sprawdzona metoda prób i błędów pozwala opanować każdy możliwy sprzęt... Nie widziałem wtedy potrzeby zapisywania własnych not. Dziennik służył mi jako bardzo duży i nieporęczny zegarek.

Z czasem jednak przekonałem się do utrwalania własnych przemyśleń. Pewnie w większości są bezużyteczne, i najprawdopodobniej zanim mnie ktoś tu znajdzie już się to zepsuje, ale przynajmniej na razie mi to pomaga. Taka autoterapia, czy coś... Mówię więc, co mi ślina na język przyniesie. Może komuś się to kiedyś przyda, może nie... Na razie, dobranoc!

\*\*\*

W ciągu tego tygodnia śnieżycy ani trochę nie upadła na siłę. Cały czas lodowaty wiatr dął przez podziurawiony oknami budynek jak przez pieszczalkę, odgrywając po pustych przestrzeniach swoją posępną melodię.

Mężczyzna z każdym dniem wstawał coraz później i coraz bardziej marniał. Wkrótce jego skóra zrobiła się szarawa, a oczy jeszcze bardziej żółte. Jedzenia miał już tylko resztki, o wodzie nie wspominając. Osiem dni po ostatnim nagraniu położył się na łóżku i postanowił poprowadzić dziennik do końca. Zrobił już wszystko co mógł, żeby poprawić swoją sytuację, ale wiedział, że i tak nic mu to nie da. Walka, prowadzona od tylu lat, zbliżała się już ku końcowi...

**24.03.2094**

Zapasy kończą mi się z każdym dniem. Pozbierałem z budynku wszystko, co wyglądało na jadalne i zorganizowałem sobie porcję. Rzeczy w opakowaniach i wodę zostawiłem sobie na górze, a mięso z polowań włożyłem do czerwonej skrzynki po ogniach i wtoczyłem na niższe piętro. Jest tam wystarczająco zimno, żeby wszystko ładnie zakonserwować. I tak nie starczy mi nawet do początku roztopów...

Myślę, że zaczną się w tym roku w kwietniu, bo zima przyszła nieco wcześniej. Roztopy to nazwa dająca duże nadzieje, nieprawdaż? Dla mnie oznaczają okres, w którym robi się tylko odrobinę cieplej, a chmury stają się jedynie trochę mniej szare. Zauważalną zmianą jest jednak to, że pod okrywą zaczyna płynąć okresowa rzeka. Z roku na rok drąży sobie coraz to głębsze korytarze...

Już w 2086 myślałem, że filary nie wytrzymają ciągłego podmywania i kruszenia i w końcu runie mi to wszystko na głowę! Dlatego też przeniosłem się na górne piętro wcześniej, niż wymagał tego zły stan dolnego. Spadając z samego szczytu mam większe szanse zginąć razem z tym cholernym budynkiem. Razem się stoczyliśmy, to i razem zginiemy!

**25.03.2094**

Słyszałem, że kiedyś zimy zajmowały tylko małą część roku. Po nich topniał cały śnieg i ziemia znów stawała się zielona. Zielony... Co to za kolor? Wszystko co mnie otacza przechodzi jedynie między bielą a czernią. Nigdy nie widziałem niczego jaskrawego, czy też jaskrawego... Najbardziej kolorową rzeczą jaką mam na podorędziu jest ta bladoczerwona skrzynka, w której trzymam jedzenie. To zabawne, ale przypomina mi zawsze kolor zamrożonego mięsa...

**26.03.2094**

Przebiśnieg. Nazwa tak błaha, że zahacza wręcz o ponury żart. Z odległych bajek często opowiadanych mi przez rodziców dowiedziałem się, że przebiśnieg to coś jakby pręt pomiarowy, który pierwszy wystawał wiosną znad topniejącego śniegu.

Jak to mama mówiła? „Zwiastuje nadejście ciepłych dni i jest jedną z pierwszych oznak tego, że natura budzi się ze swojego letargu.” Nie powiedzieli mi jednak, co to jest ta ‘natura’, czy ‘wiosna’. Czasem mnie to zastanawia...

\*\*\*

**01.04.2094**

Zaczynam powoli słyszeć wodę drażącą nowe tunele pod zmarzliną. Raz na jakiś czas wieża dostaje drgawek, ale to chyba nic poważnego. Na pewno nie pomagają jej te ciągłe podmuchy wiatru, rozbijającego tumany śniegu. Jak tak dalej będzie, to prędzej się wszystko zawali niż umrę z głodu. W sumie, to nie taka zła opcja...

Większość czasu spędzam na przechadzaniu się po piętrze, łatając dziury w uszczelnieniach reperując ogniowy piecyk. O ile starcza mi sił na wstanie z łóżka

Temperatura? Gdy wystawiam na zewnątrz spoconą rękę, to po kilku sekundach muszę rozkuwać ją dłutem. Nie jest tak źle...

Wewnątrz panuje przyjemne ciepło. Jedenaście, a może nawet dwanaście stopni! Wciąż słyszę ten przekłety świst, gdy przykładam ucho do ściany. Burza chyba się na mnie zawzięła!

\*\*\*

## PLIKI USZKODZONE

\*\*\*

**05.04.2094**

Mój biedny ojciec zawsze powtarzał, gdy o coś się skaleczyłem przy ciągłej konserwacji budynku: „Synu, nie becz! Co cię nie zabije, to doda ci sił!” Stary tarzał by się teraz ze śmiechu widząc jak leżę w łóżku nie mając siły by zejść na dół po kolejną porcję. Głód chyba jest tym słynnym wyjątkiem od reguły...

Całe suche żarcie już mi się skończyło. Zostały mi tylko dwie butelki wody, i jedna flaszka wódki. Cholera! Będę musiał teraz schodzić na dół!

Kiedy człowiek myśli, że ma pecha, zaraz przychodzi na niego kolejne nieszczęście, by tylko utwierdzić go w tym przekonaniu. Przed chwilą usłyszałem nieprzyjemny zgrzyt dobiegający od strony pokoiku z piecem. Zaczyna robić się naprawdę zimno...

**06.04.2094**

Na szczęście to nie było ogniwo. Zaraz po północy grzejnik się zresetował i znów zrobiło się ciepło. Tym razem Fortuna, czy jak jej tam, się do mnie uśmiechnęła, i obudziłem się żywy. O ile można obudzić się martwym...

Czuję się już nieco lepiej. Za chwilę spróbuję wstać i zejść na dół. To przecież kilka kroków...

Jasssna cholera! Ja... n-nie mam już siły! Nie dam rady! Jestem bezużyteczny! Kompletnie bezużyteczny!

Spadłem ze schodów! Nie wiem czy jestem cały, ale to i tak bez znaczenia. Przy takim osłabieniu i zimnie i tak bym nie poczuł złamania. Nie dam przecież rady sam wczołgać się na górę... Po cholere zamykałem tą klapę?! Co gorsza, uratował mnie ten pieprzony śnieg! Gdyby nie on, roztrzaskałbym się przyjemnie o twardy beton.

A tak muszę tu cierpieć. Bardzo powoli umierać...

Co chwila owiewa mnie ten cholerny wiatr. Jak tu zimno, jak strasznie zimno...

Nie... nie mam już siły wpisać na panelu daty nagrania... Może głód zabije mnie szybciej niż chłód? Ha! To by było zabawne! Taki przyjemny rym na tak beznadziejną sprawę! Może przez ostatnie godziny życia spróbuję być poetą? Nie... To nie jest dobry pomysł. Najpewniej jeśli ktoś mnie tu kiedyś znajdzie, oczy będą go szczypać od tego przekłętogo mrozu, a uszy krwawić od okropności potencjalnych... no... utworów! To w sumie też byłoby całkiem zabawne...

Dobra... To ustrojstwo w ogóle jeszcze działa? Byłoby śmiesznie gdybym przez ten cały czas mówił tylko do siebie. Chociaż w sumie skąd mogę wiedzieć czy nie myślę na głos? Już dawno z nikim nie rozmawiałem. Adam był taki elokwentny... Szkoda, że musiał odejść. Wszyscy musieli, żeby ktoś został w domu. Tak... wszyscy musieli...

Chyba jednak uda mi się wrócić na górę! W skrzynce nie wszystko było zamrożone na kość! Ha! Na kość! Jakie zabawne przysłowie! Trochę gumowate, trochę twarde, trochę żyłowate, ale da się jakoś przełknąć. Jakby co, mam jeszcze na górze antybiotyki.

A co mi tam! Jak mam umrzeć z głodu, to już wolę spróbować umrzeć od zatrucia. Gówniana śmierć, ha ha! Nie... takich żartów nie będę już sadził... Nie chcę, żeby potencjalny znalazca przestał w tym momencie słuchać...

Także... Hej! Nie odkładaj słuchawki! Już nie będę!

Zjadłem wszystko co nie przypominało zamrożonego kamienia. Czuję się całkiem dobrze, więc niedługo zamierzam wrócić na górę.

Muszę tylko wpakować do kieszeni resztę jedzenia ze skrzyni i mogę spróbować przeforsować schody. Kto nie ryzykuje, ten się nie grzeje, czy jakoś tak!

**09.04.2094**

Zajął mi to cały dzień, ale w końcu doczołgałem się do mojej pryczy. Jak tu przyjemnie ciepło... Wydobyłem kiedyś z dolnych pięter zasilaną ogniwami kuchenkę. To była zdecydowanie najprzydatniejsza rzecz, jaką udało mi się znaleźć! Włożyłem całe żarcie do tej cudownej krótkofalówki i teraz obserwuję jak się pięknie obraca. Jest coś kojącego w tym prostym ruchu... Przyłożyłem głowę do szyby. Dzięki temu czuję jak przyjemne gorąco rozlewa mi się po całym ciele... A może to tylko takie złudzenie?

Trochę tego było, ale zjadłem wszystko! Obrąłem taktykę rzucenia się na ostatnią kartę, czy jakoś tak. Ciepły i suty posiłek da mi pełnię sił, a tak męczyłbym się ledwo żyjąc na głodowych racjach przez kilka tygodni. Zażyłem też wszystkie lekarstwa i witaminy jakie znalazłem w apteczce. Nie wiem na co i do czego, ale tak naszprycowany mogę żyć jeszcze dobry tydzień! Oby tylko ktoś się tu zjawił, inaczej to już jeden z moich ostatnich wpisów...

\*\*\*

**12.04.2094**

Burza nareszcie ustała. Nic już nie wieje, nic się nie rozbija o te biedne ściany. Postanowiłem wyjść dziś na dach. Chyba już mówiłem, że wymontowaliśmy teleskop? Jeśli nie, to tak właśnie zrobiliśmy. W jego miejscu założyliśmy metalową klapkę, coby się można było rozglądać po okolicy. Rzeczywiście, widać stąd całą Białą Dolinę! Nieskończone połączenie jednostajnie białego szlamu. Zaprawdę, zaiste, powiadam – piękny widok!

No dobra, jestem na górze. Tak jak myślałem, nie ma dzisiaj wiatru. Nic tak nie psuje depresyjnego krajobrazu jak gęsta zamieć! Znowu trochę napadało...

Na oko oceniam jakieś pół metra, no może metr. Jak tak dalej pójdzie, za kilka lat już nawet ten budynek nie będzie wystawał spod śniegu. To musiałby być naprawdę piękny widok! Ostateczny koniec ludzkości...

Przez starą lornetkę, którą wygrzebałem kiedyś z jednej z szafek na trzynastym piętrze, widać cały horyzont. Pięćdziesiąt kilometrów pustej, białej przestrzeni. Śnieżna pustynia, czy jakoś tak. Ani śladu choćby szczątków innych budynków. Jak tu... pusto... Nikogo i niczego...

Lubię tam jednak chodzić. Obserwować to, co zostało ze świata i z miasta, które niegdyś zajmowało całą tę nieckę, wypełnioną teraz do reszty szarugą. Wyobrażam sobie wtedy, że jestem ostatni. Ostatni człowiek na ziemi i ostatni stojący jeszcze budynek. Kiedyś, gdy miałem się jeszcze z kim się tymi spostrzeżeniami podzielić, wydawało mi się to dumne. „Hiacynt, ostatni człowiek na ziemi!” Na samo wspomnienie tych dumnych marzeń zaciskają mi się zęby. Chcę krzyczeć, ale po co? I tak mnie nikt nie usłyszy... W końcu stało się tak jak chciałem! Jestem ten Ostatni...

**13.04.2094**

Nie wiem co dalej robić... Po wielkiej wyżerce nie mam już co jeść, a picie stopionego śniegu zmieszanego z popiołem, czy innym gównem, jakoś mi się nie uśmiecha... Póki mam dostatecznie dużo sił przejdę się po całym budynku i poszukam czegoś przydatnego.

Każdy, najmniejszy zakamarek przetrząsnę dogłębnie, i może znajdę coś, co mnie wybawi. Obejdę ze dwa piętra i wrócę na górę. Nie przejmowałem się takimi poszukiwaniami gdy miałem mnóstwo żarcia. Jest więc szansa, że coś zostało pochowane po szafkach, skrytkach, czy innych takich. Szansa... jakie to cudowne słowo!

Nie spodziewałem się tego, że byłem aż tak ślepy! Po przewróceniu każdej powierzchni tego przeklętego akademiaka znalazłem paczkę czegoś, co nadaje się chyba do spożycia, dwie butelki zimnej jak cholera wody i... No właśnie! Nietknięty przez rdzę pistolet! Był ukryty w szczelinie za jedną z szafek, w pokoju piętro niżej. Nigdy nie widziałem na oczy takiej broni, ale słyszałem od rodziców jak to to się używa. Odłożyłem sobie jednak sprawdzanie na później. Najpierw muszę się napić. I to porządnie!

Coś tam kliknąłem i z dołu giwery wyleciał jakiś prostokąt. Oczywiście prosto na moje kolano, jakżeby inaczej! To chyba magazynek... W środku znalazłem jedną metalową tulejkę – zapewne nabój. Czyli według mojej wiedzy mam tylko jeden strzał... Wybornie! Kolejna sugestia od losu, że powinienem już przestać się starać. Trzeba mu przyznać – uparty skurwysyn.

\*\*\*

Martwa cisza zawładnęła mroźną pustynią. Nawet wiatr nie hulał już po otwartych, nieskończonych przestrzeniach Białej Doliny. Lekki śnieg pokrywający cienką warstwą zbitą szarugę leżał spokojnie, nie ruszając się choćby o milimetr. Szare jak nieszczęście chmury zastygły nad światem, odbierając mu resztki światła. Wszędzie panował półmrok. Popielaty, gęsty półmrok.

Do tej scenerii nie pasował tylko jeden obiekt. Wystający kilkanaście metrów ponad śnieżną pokrywą budynek. Jego lśniący kopulasty dach puszczał co chwila srebrne odbicia w daleki świat, by nigdy nie otrzymać od nikogo odpowiedzi. Zdawało się, że życie opuściło tę smutną krainę na zawsze, pozostawiając po sobie jedynie monumentalną pamiątkę. Wszystkie piętra, nawet to zaryglowane ciężką, żelazną kłapą, były opuszczone. Zewsząd walały się po nich ślady niedawnej obecności człowieka, ale nigdzie nie dało się go dostrzec. Po nieco zakurzonej korytarzu na ostatnim piętrze wyraźnie odznaczał się ślad ciągniętego po podłodze przedmiotu. Cienką warstwę kurzu wyraźnie przecierała gruba smuga. Szlak ciągnął się aż do drabiny, prowadzącej do kopuły dawnego planetarium. Kłapa, która odgradzała ją od mieszkalnej części budynku, była otwarta na oścież. Dojmujący chłód wlewał się przez otwór do nagrzanego wnętrza. Wkrótce ostatnie kryjące się jeszcze w ciemnych kątach resztki ciepła zniknęły, ustępując miejsca mrozowi.

Chwilę później charakterystycznym cyknięciem wyłączył się grzejnik, pozostawiając świat bez swojego przytulnego, promieniującego gorąca.

Na betonowej krawędzi, która opasała planetarium siedział mężczyzna. Rękę opierał na małej, czerwonej skrzynce, w jakimś nieznanym celu wtaszczoną aż na samą górę. Mimo arktycznego chłodu, kombinezon miał rozpięty. Kaptur i gogle zsunął sobie na plecy. Lekko przygarbiony, tkwił nieruchomo wpatrując się w nieokreślony punkt na horyzoncie. Gdy tylko wyszedł na górę, jego skóra stała się pomarszczona. Oczy płonęły mu niezdrowym, żółtym blaskiem. Powoli, bardzo nierównym wdechem, nabierał w płuca kłującego powietrza. To nie był ten butny, hardy młodzieniec, stawiający sobie ponad wszystko przetrwanie. Lodowe Pustkowie złamało go ostatecznie. Dopięło swego i wygrało walkę, toczoną z takim uporem przez lata. Lecz porażka nie była tak dotkliwa. Od dłuższego czasu wręcz wyczekiwana z utęsknieniem. Mężczyzna był już stary. Bardzo, bardzo stary...

W obu rękach trzymał małe, bijące niebieską luną urządzenie, Holodziennik. Przejeżdżał co chwila palcem po konsolce, na której wyświetlał się napis: „Nowy zapis”. Wahał się. Błądził oczyma po bezkresnej pustyni, na której środku się znajdował. W końcu kliknął ekran i rozpoczął nagrywanie. Napiął raz jeszcze mięśnie zmęczonej twarzy i wykrztusił z siebie ostatnie słowa, skrzętnie zapisywane przez urządzenie...

**20.04.2094**

Zrobiłem sobie trochę przerwy na pozbieranie myśli. Musiałem przemyśleć całą sprawę...

Powiem tyle: nie ma już sensu dłużej tego ukrywać. I tak nikt mnie tu nie znajdzie. Jeśli już, to dawno będzie dla niego za późno, żeby mnie zabić. Mróz, głód, choroba – cholera wie! Któreś z nich będzie pierwsze...

Myślę, że już dostatecznie długo się z tym męczyłem. Mam dosyć kłamstw! Jeśli ktokolwiek będzie tego kiedykolwiek słuchał, to niech wie jedno: ja naprawdę nie miałem innego wyjścia! Czy wy myślicie, że dałbym radę tak sam, bez żadnych dostaw z zewnątrz, wytrzymać tu tyle lat?! Śnieg jest morderczy dla żywych, ale martwym pomaga. To nie moja wina! Ja naprawdę nie chciałem być tym złym...

Chowaliśmy wszystkie trupy za północną ścianą budynku. Wyglądały świeżo, soczyście...

Byłem taki głodny... Za bardzo głodny! Ale ja nie jestem zły z natury! Nie! To sytuacja mnie do tego zmusiła! Przeklęty, cholerny cmentarz!



Rok po pochowaniu tatka i mamy znalazłem na górnym piętrze ich ulubioną książkę. Biblia, Biblia, czy jakoś tak, nieważne... Adam kazał mi odkopać ich grób i położyć ją na piersi tatka... To wszystko była jego wina! Jego, tej przeklętej książki, ich, mnie... Nie wiem!

Wyglądali, jakby przed chwilą zasnęli! Nie mogłem nic na to poradzić... Byłem taki głodny, dałbym wszystko za choćby kawałek świeżego mięsa! A mięso to mięso, nie ma wybrzydzenia!

Adam pierwszy zaczął być podejrzliwy. Pewnej nocy wybrał się na cmentarz i rozkopał inne groby. Wszystkie najbliższej powierzchni były już puste. Musiałem działać! Kiedy wracał zszokowany do swojego pokoju, zepchnąłem go ze schodów. Nie zdążył nawet krzyknąć...

Sprawa była dla innych prosta – wyszedł w nocy za potrzebą, a kiedy wracał, najwyczejniej w świecie poślizgnął się na pokrytych lodem stopniach. Nawet nie musiałem niczego wymyślać! Sami dopowiedzieli sobie taką bzdurę. Pochowali go zaraz obok moich rodziców. Jemu to już się należało! W końcu do czegoś się przydał...

Jednak inni po jakimś czasie też zaczęli patrzeć na mnie z ukosa, czy też z ukosa. Pewnie przez coraz szybciej topniejące zapasy. Marnieli w oczach, a ja wciąż zachowywałem w miarę zdrowy wygląd.

Rozszarpali by mnie żywcem, gdyby się dowiedzieli! Musiałem być pierwszy, nie miałem wyboru! Dwanaście osób, to dwanaście lat cierpienia – odkupiłem już swoje!

Przecież byłem miłosierny! Spali na dole z grzejnikiem, a ja na górze, przykryty kocami. Przecież śmierć we śnie to nic strasznego! Nie powinni mnie tak męczyć po nocach, przecież nic ich nie bolało! Tak bardzo nienawidzę spać! Nie znoszę tych twarzy, tych głosów, szeptów! Przepraszam was, żałuję!

Do dziś pamiętam jak gorące ogniwo wyciągnięte z tego piecyka niemal przepaliło mi kurtkę... Uciekłem po cichu do swojego pokoju, schowałem baterię do skrzynki, a potem jak gdyby nigdy nic zasnąłem. Nie spałem wtedy dobrze. W końcu, mi też było zimno...

Zakopałem ich wszystkich w śniegu na dolnych piętrach. Jak w gigantycznej zamrażalce. Pulchniejszych niżej, a chudszych wyżej. Odkopywałem po kolei, w razie potrzeby, powoli schodząc w dół. Odgrzewałem małe kawałki w krótkofali. Obrzydliwe, słodkie, ciągnące się mięso. Ale pozwoliło mi przeżyć. I przetrwałem. Dwanaście parszywych lat...

Podjąłem decyzję. Już mi nie zależy, żeby podtrzymywać to niekończące się pasmo cierpień zwane przez niektórych ironicznie życiem. Siedzę teraz na południowej krawędzi budynku. Wiatr przyjemnie rozwiewa moje siwe włosy...

To już ostatnie nagranie w tym dzienniku. Więcej się nie usłyszymy. Już nikt nie będzie musiał oglądać mojej parszywej gęby i słyszeć mojego rdzawego głosu. Już nikogo więcej nie skrzywdzę!

Chcę jednak uwiecznić moją historię. Niech stanowi przestrożę dla podobnych do mnie. Zapewne sam bym siebie nie posłuchał, a tym bardziej nie wyciągał żadnych wniosków, ale chyba warto spróbować...

Listę nazwisk moich ofiar znajdziecie w czerwonej skrzynce, zaraz obok tego holodziennika. Już chciałem ją zapieczętować, ale wyzwolił się we mnie ten ukryty poeta, o którym gdzieś już chyba mówiłem. Może to błahe, ale mi się nawet podoba. Cóż... jaki człowiek, takie jego ostatnie słowa.

Do zobaczenia w ciepłutkim Piekło!

*Niebo zapadło się teraz w czerń. Nie jest już nawet ciemnoszare. Tylko nieskończona czerń. Poda mną rozciąga się biel śniegu. Nie jest już nawet szare jak popiół. Tylko nieskończona biel. Siedzę na gzymsie, coraz bardziej pochylając się w stronę przepaści. Zostałem sam. Ja sam, jedna kula w magazynku i ten przeklęty, czarno-biały świat...*

**KONIEC TRANSMISJI**